JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

ZENOBJA PALMURA

POWIEŚĆ



KSIĄŻKI TEJ ODBITO 100 EGZEMPLARZY
W WYDANIU WYTWORNEM, LICZBOWANYCH
I SYGNOWANYCH PRZEZ AUTORA.

Mojemu dawnemu przyjacielowi
Jerzemu Mikłucho-Makłaj

RZECZ DZIEJE SIĘ W KIJOWIE, W JESIENI ROKU 1912.

SCENA I.

Józef stał w przedpokoju małego pałacyku przy ulicy Krugło-Uniwersyteckiej 7, czekając na księżnę Mawricką. Przez otwarte w sąsiednim pokoju okna wlatywał gwar miasta, chłód jesieni i blask żółtych drzew; ciepło i cień hallu, schodów i sąsiednich gabinetów nakrywały go miłem milczeniem. Czekał.

Z góry nagle rozległ się tupot młodych nóg. Jura książę Mawrickij zszedł na dół. Był piękniejszy, niż wypada młodemu człowiekowi z towarzystwa. Poprawiając cylindra przed lustrem, spojrzał na Józefa przelotnie.

— Czego?

— Z biura.

— Kamerdyner?

— Tak toczno.

— Bardzo dobrze. To specjalnie dla mnie. Do mojej osoby.

— Cieszę się.

— Cieszysz się? Naprawdę. No, masz rację: u mnie służba nie trudna. Nauczysz się łatwo.

Telefon.

— Hallo! tak, to ja, Jura Mawrickij. Dzień dobry. Nie, nie. Nie wybieram się. Z tobą? Nie, za nudny jesteś, Jarosławie. Może lepiej do teatru. „Walkirje"? No, no. Dobrze. Dobrze. Dziś o siódmej. Do widzenia. Tak, tak, do widzenia.

— Idę dziś do teatru — zwrócił się do Józefa. Na jedenastą herbata na dwie osoby. Kąpiel ciepła. Proszę się nie kłaść, zanim nie wrócę.

Z szelestem jedwabiu wypłynęła księżna, z góry spojrzała na Józefa przez face-à-main.

— Maman — to mój kamerdyner.

— Już zgodziłeś?

— Podoba mi się. Laissez-le.

Księżna odpłynęła.

— Proszę się udać do starszego kamerdynera mego ojca. On wskaże apartamenta i zajęcia — zwrócił się Jura do Józefa. — Tylko proszę nie wykonywać jego rozkazów, ani niczego, co się nie tyczy mojej osoby.

Tak oto Józef został kamerdynerem księcia Jerzego Mawrickiego.

SCENA II.

Prawie nikt nie wiedział, że na rogu ulicy Kościelnej i Triochswiatitielskiej, w zacisznem miejscu, prawie naprzeciw kościoła św. Aleksandra, istniała malutka kawiarenka „Palmira". Jeszcze mniej osób wiedziało, że zamiast ciastek podawano w tej kawiarni zwyczajne polskie mazurki, wypiekane przez właścicielkę jej, panią Banasińską, przy pomocy panny sklepowej, panny Zenobji. Najmniejsza zaś ilość osób wiedziała, iż właśnie owe mazurki z kawiarni „Palmiry" uchodziły w domu księstwa Mawrickich (samedi entre cinq et sept) za wyrób rączek księżniczki Wari i były jeszcze jednym plusem, obciążającym możliwości matrymonjalne tej wielkiej, tęgiej osoby, śpiewającej niskim głosem dość muzykalnie rosyjskie piosenki, co wtorku. (Nous aurons un peu de musique — mardi à 9 h.).

Panna Zenobja — osoba wysokiego wzrostu, o przepięknych, spokojnych królewskich rysach, z całą kopicą jasnopłowych włosów, związanych w wielki węzeł. Miała melancholijne, głębokie spojrzenie. Zwykle, ponieważ w kawiarni nie było nikogo, siedziała podparta na łokciu w wielkiej szybie okna i spoglądała w dal, gdzie za Dnieprem majaczyły dalekie czernihowskie lasy. Czasami w takich chwilach zasła-

niała jej widok mała czarna postać. Uśmiechały się do niej usta i oczy młodziutkiego studencika, wielkiego panny Zenobji przyjaciela, Jarosława Iwaszkiewicza. Po chwili młodzieniec wchodził, kłaniał się pani Banasińskiej, drzemiącej przy kasie w cieniu fikusa, hodowanego jeszcze w szczęśliwych czasach, kiedy to pani Banasińska była żoną „rządcy" gdzieś na jakimś folwarku białocerkiewszczyzny; podawał rękę pannie Zenobji i prosił o białą kawę z mazurkami.

Panna Zenobja przynosiła kawę i przysiadała przy stoliku studenta. Zwykle wówczas zjawiał się Józef; był to jakiś dawny znajomy z czasów dziecinnych Zenobji, podobno, jak to wzmiankowała stara Banasińska, nawet krewny; poszedł nieco inną drogą — był z zawodu kamerdynerem. Miły był chłopak, lat dwudziestu pięciu, miał dobry uśmiech: coś jednak czaiło się w oczach. Zaprzyjaźnił się z Jarosławem. Gdy się tak zbierano we trójkę i zabrakło im aktualnych tematów do rozmowy, wspominano sobie dzieciństwo.

SCENA III.

WSPOMNIENIA PANNY ZENOBJI, SPISANE PRZEZ STUDENTA FILOZOFJI, JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA.

1. Świt. Kurz na drodze. Jadą na odpust. Konie prychają i bryczka furkocze lekko. Mama mówi różaniec. Gdy konie prychną, pozdrawia je. Furman kiwa się na żółtym koźle, zboże chwieje się z obu stron drogi. Gdzieś za wsią pod wysokim czarnym krzyżem konie stają. Furman złazi z kozła i poprawia uprząż. Wówczas robi się głęboka cisza. Kurz obciążony rosą opada. Z daleka tylko zaczynają piać koguty. Jeden głos najpierw, potem dwa, potem więcej, to bliżej, to dalej. Ledwie je słychać czasami, a potem z nową siłą: Kikeryki! Kikeryki!

2. W domu latem. Południe. Okiennice zamknięte, bo jest bardzo gorąco. Muchy. Na stole ogórki i rzodkiewka. Czarny chleb. Trochę malin na liściu kapusty. Tatuś śpi. Mama chodzi na palcach i głośnym szeptem fuka na przerażoną służącą. Herbata. Przez wpółodemknięte drzwi widać słońce na żwirze podjazdu, kury grzebiące. W świetle owych drzwi zjawia się Józio w białej koszuli (ów Józef teraźniejszy) z kijem wierz-

bowym w ręce i kiwa dłonią: Chodź, Zena, chodź! Wybiec na dwór. Poczuć ciepło słońca na skórze i w rozgrzanem powietrzu biec ku stawowi, który mruga tysiącami złotych iskierek. Lato.

3. W żniwa kiedyś poszli miedzą (ona i Józef naturalnie.) On już wtenczas był duży parobczak; o podwieczorku poszli sobie miedzą. Kwiaty po pas — więdnie to zakurzone, ale bujnie się trzyma. Z boku, z jednej strony nieskończona pszenica — z prawej ścierniska z kopami. Kurzem pachnie i zbożem: obłoki płyną na jasnobłękitnem niebie: śpiewali sobie nikłą pieśń pod roztopionym ogniem słońca. Zaszli tak aż do lasu...

(Tu urwała panna Zenobja, a Józef się uśmiechnął. To wspomnienie nie podobało się Jarosławowi: uznał je za nikłe. O co tu chodzi?..)

4. W nocy kiedyś państwo ze dworu jechali na spacer i zabrali ich: Zenobję i Józefa. (Zenobja wtedy szyła bieliznę dla dzieci). Założyli czwórkę koni do wozu i w noc księżycową do lasu. W lesie zrobiło się ciemno: gdzie droga, ani weź. Wyjechali na polanę. Bawili się w gry. „Ostatnia para naprzód", „cztery kąty". Ciemno było. Zabłąkał się ktoś. Szukali go długo; chłodno już było, i rosa zaczęła padać, kiedy wrócili. Furman klął, że nie spał całą noc. A ona usiadła do bielizny, i coraz jej się przypomnni jakaś chwila z owego

spaceru; to gra, to jakie ciepłe dotknięcie pańskiej ręki, to razem z kimś była w parze, a Józef ją długo gonił po czarnej polanie. Pośliznęła się na mokrej trawie i upadła. To sobie zapamięta...

SCENA IV.

Dziś Józef przyszedł do „Palmiry“ z radosną miną. Był bez posady przeszło miesiąc — nareszcie znalazł.

— Wiecie — zagadnął Zenobję i Jarosława — wiecie? Macie przed sobą kamerdynera księcia Jerzego Mawrickiego.

— Jury? — zdziwili się tamci. Każde innym tonem.

— Znacie go?

— No naturalnie, będę z nim dziś w teatrze.

— Toś ty dziś do niego telefonował?

Józef z racji jakiejś biby czy imienin, na której wypito bruderszaft, był z Jarosławem na ty.

— Ja! A pani, panno Zenobjo? Pani go zna?

— Przychodzi przecież tu czasami. Nawet z panem Jarosławem. Kupuje czasem ciastka.

— Prawda, jaki jest piękny?

Zenobja się zmarszczyła.

— Tak, ale pozuje.

— Ma w tem swój wdzięk.

— Być może.

— Czy nie możemy się zająć czem innem? Pan Mawrickij nie jest chyba tak ciekawym tematem.

— Czyż aż tak nieciekawym, panno Zenobjo?

— Zupełnie.

SCENA V.

Po „Walkirji“ Jarosław zaszedł na herbatę do Jury Mawrickiego.

— Mam nowego kamerdynera — powiedział Jura.

— Aha, wiem. To mój znajomy. Jesteśmy nawet po imieniu.

— Ty, zdaje się, masz znajomości w najróżnorodniejszych sferach.

— Tak. Jak zwykle poeci. Nie zwracam na to uwagi. To bardzo miły chłopak. Zresztą to podobno krewny panny Zenobji z „Palmiry“.

— Ach tak? Tej wielkiej blondynki. Wiem. Wiem. Czy mógłby mi zrobić jaką protekcję? Nie?

— Nie sądzę.

— Chciałbym bardzo poznać tę osobę. Czy ty ją znasz?

— O tak, jest moją wielką przyjaciółką. Mogę cię przedstawić? Przyjdź kiedy na kawę. Dobrze?

— Może jutro?

— Tak ci spieszno?

— Nie, ale mam jutro wolny dzień. Pojutrze ten wielki obiad u nas dla dygnitarzy. A potem jeszcze nic nie wiem.

Wspaniała księżna wsunęła się w lekkim negliżu.

— Wszystko dobrze — powiedziała z nieukrywaną radością. — Wszystko jest dobrze. Waria mianowana jest frejliną. Wkrótce jedziemy na Krym.

Jura ukłonił się z uśmiechem.

— Jednem słowem szczyt szczęścia.

SCENA VI.

Pokoik Józefa miał tylko jedno okno. Wychodziło ono na ukośny pień wielkiego drzewa, które stało na podwórzu. Obecnie blado oświecało je światło z ulicy. Józef nie zapalał lampy. Mógłby ułożyć komentarz do wspomnień panny Zenobji, ale mu się nie chciało. Był jesienny wilgotny mrok. Józef położył się na łóżku i chciał się zdrzemnąć. Pana nie było w domu. Musiał nań czekać. Wiedział, że o tej godzinie Jarosław miał być w ,,Palmirze''. Chciał zobaczyć Zenobję. Prosto popatrzeć im w oczy i trochę pogadać.

Był w niewoli. Miesiąc pauzy rozpróżniaczył go porządnie. ,,To do niczego, taka służba,'' powtarzał sobie po raz tysiączny. ,,Niewola''. Pomału wezbrała w nim nienawiść. Usiadł na oknie i przyłożył czoło do chłodnej szyby: no, nie; nie warto go nienawidzieć. Książę Jura jest bardzo miły. Tylko to są warunki społeczne.

Przekradł się potem do gabinetu Jury. Ujął trąbkę telefonu. Cały aparat błyszczał w cieniu.

— Kawiarnia ,,Palmira''? Ciocia Banasińska? Józef. Czy można poprosić pannę Zenobję? Zajęta? Kto jest? Jarosław i jeszcze jakiś pan. Czy ładny pan? Oh! Bardzo!

To pewnie książę Mawrickij! Tak? Aha; i Zenobja z nimi rozmawia? Tak. Dziękuję cioci. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i stał chwil parę nieruchomo. Potem spojrzał na okno. Błękitniało na niem. Lampa z boku oświetlała żółte jeszcze listowie jesiennych drzew i krzaków w ogródku. Józef zawrócił do swojego pokoju i położył się na łóżku. Chyba, że nie płakał tego wieczora. Ale nienawiść wezbrała w nim mocniej.

SCENA VII.

„Je sais que j'ai des ailes", powtarzał Jarosław Iwaszkiewicz, zmierzając wieczorem ku swemu mieszkaniu przy ulicy Dziełowej Nr. 9.

Świadomość skrzydeł. Tego jasnego nieba, na którem szarem pasmem kładły się niskie obłoki. Gwiazd pachnących i puchu białych śniegów, które niebawem nadejdą. W tryumfalnej godzinie lotu osypią się ametysty lodowe wrótni niebieskiej, ścieżką dumy przyjdzie Zenobja w hełmie jasnych włosów; siność wieczoru jesiennego rozedrze świadomość jak czerwone nieme iskry, i wejdzie, za rękę go wiodąc, wielka Rosa Aurea, Rosa Mystica.

„Je sais que j'ai des ailes". Unosiła go pieśń Schumanna, którego zresztą niecierpiał, w grotesce skoków zabawnych, aż na szczyt góry, składającej się z różanych więdnących pączków. Jako bogini chińska, w kucki siedziała na szczycie wielka dama — Zenobja — i symetrycznemi ruchami kołysała ramiona i dłonie, jak wielkie płatki białe, jak węże lekko zaróżowione. Kniaź Jura Mawrickij w monoklu i cylindrze, nieprzyzwoicie przystojny, mówił jej bezczelnie o wiośnie w północnych Włoszech, we Florencji, a kasdada spienionych słów opadała nieznaną słodyczą i na jego serce. Schodząc

w dół Wasylkowską, za perspektywą, za profilem gotyckim świętego Mikołaja, na horyzocie ujrzał nad ciemną linją lasu dwa pasma czerwonej zorzy, rozłożone jak skrzydła ogniste.

„Anioł zwiastował mi — je sais, je sais que j'ai des ailes". I świadomość skrzydeł rosła w nim na potęgę, rozsadzała, rozśpiewywała, aż począł zbiegać w dół, jak w dolinę kwiatów, śpiewając głosem wewnętrznym:

Zenobja! Zenobja!

SCENA VIII.

Jura Mawrickij dość często odtąd spotykał się ze swoim przyjacielem Jarosławem w kawiarni ,,Palmira". O ile nie było innych gości, to spokojnie siadała przy nich Zenobja; była zazwyczaj milcząca i myślała o swoich sprawach. Zresztą słuchała obojętnie ich rozpraw na tematy dowolne, potoczne, czy abstrakcyjne. Czasami prosiła Jarosława o wyjaśnienie pewnych niezrozumałych słów i powiedzeń.

Józef w takich razach nigdy nie bywał, gdyż musiał czekać na pana w domu. Raz tylko podczas fixu sobotniego posłano go po ciastka do ,,Palmiry". Zastał tam obydwu przyjaciół i Zenobję. Znalazł się w głupiej sytuacji, bo właśnie miał do Jarosława interes. Poprosił Zenobję, która mu ładowała ciastka do pudełka, aby odwołała Iwaszkiewicza. Podał mu rękę i załatwił swoją sprawę. Czuł, że przez cały ten czas oczy księcia spoczywają na nim. Nie podniósł swoich ani na chwilę. Dopiero, gdy żegnał się już z Jarosławem, rzucił przelotne spojrzenie w tamtą stronę. Jura płacił Zenobji za kawę.

SCENA IX.

Wieczorem tegoż dnia, podczas gdy Józef rozbierał młodego księcia, toczyła się między nimi taka rozmowa:

— Ta Zenobja to twoja krewna?

— Tak. Daleka.

— Skąd ona jest?

— To córka ekonoma z białocerkiewszczyzny. Razemśmy się wychowywali.

— Kochałeś się w niej?

Józef w tej chwili otwierał kran łazienki. Nie słyszał więc pytania.

— Kochałeś się w niej? — powtórzył Jura, gdy Józef wrócił do pokoju.

— Czy zwierzenia miłosne należą również do obowiązków kamerdynera?

Jura spojrzał i zamilkł. Józefowi zrobiło się przykro: mimowoli przywiązał się do młodej piękności swego gospodarza.

— Przepraszam — powiedział po chwili, układając spodnie w szafie.

— Nie gniewam się, mój Józefie. — mówił, trochę pozując na Wilde'a, jak zwykle, Jura. Masz zresztą zupełną

rację: ale nie traktuję cię jako kamerdynera. Les amis de nos amis sont nos amis. Uważam cię za przyjaciela Jarosława.

— Zabawne jest mówić o przyjaźni między mną a księciem panem — powiedział swobodnym tonem Józef. — Choć pewien jestem, że gdyby nie różnice socjalne, moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

— Czuję jakieś podstawowe „fond" naszych umysłów i usposobień, któreby nas mogło zbliżyć — powiedział zwolna Jura i popatrzył na Józefa uważniej niż zwykle.

— Kąpiel gotowa — powiedział kamerdyner. Jura przeszedł do łazienki.

SCENA X.

Nienawiść rosła. Skoro tylko dostawał się do swojej komórki, odrzucał, jak złotą łuskę, naleciałość mimowolnej i bezwiednie głębokiej sympatji do swojego pana, a dobywał uczucia niewolnika, przyprzęgniętego na zawsze do taczki arystokratycznego domu. Całe dessous owego domu napełniało go głęboką niechęcią. Godzinami wysiadywał w kuchni, gdzie kucharz, napół pijany, wymyślał nieustannie biednej dziewczynie ze wsi, Mańce, która pchinkała tylko, wycierając rogiem chustki i nos i oczy. Dziewczyna usychała z tęsknoty za wsią, chatą, wiejskiem jedzeniem i wiejskim obyczajem. Nie rozumiała po moskiewsku, tylko po rusku. Józef sam nie wiedział, jak razu pewnego wziął ją w swojej komórce. Ciepło jej ciała zostawiło mu na zawsze niesmak do konieczności wydawania z siebie nasienia i jakiegokolwiek spółkowania. W jesienny zmrok, w ciemnej nieopalanej komórce, pod derką, na której paliły się niebieskie refleksje lampy, przypomniał sobie chłopięcy samogwałt, któremu się oddawał niegdyś w lasku, lub na strychu, lub w pachnącej stodole rodzinnych okolic. Powróciły mu wraz z tem załatwianiem sprawy płciowej dziecinne a głębokie tęsknoty. Leżąc, widział przez okno dach i komin sąsiedniego budynku, a nad nim gwiazdy: gwiazdy widywał, gdy mając czternaście lat, sypiał na dworze. Chciało mu się owych czasów. Pa-

miętał, jak Zenobja przechodziła malutką, wąską ścieżką pomiędzy krzakami wilgotnych bzów, wieczorem po deszczu, odchylając mokre gałązki, a on ją widział, siedząc w altance, właśnie po załatwieniu się. Zapach bzów wilgotnych, ziemi, świeżej spermy, i ów ruch wężowy Zenobji, prześlizgującej się przez mokre gałązki. Zenobja wysoka, bardzo wysoka, z hełmem płowych włosów. Głos jej niski odzywa się wśród krzaków.

Widywał Jarosława rzadko. Wiedział jednak, że między Jurą a Zenobją coś się kleci. Chciał się dowiedzieć szczegółów, ale był tak zapracowany, że przez parę dni zupełnie nie mógł wyjść. Były to dnie przyjęć i proszonych obiadów. Zwykle przy obiedzie opadała go głucha nienawiść. Stawiał talerze cichutko i chodził sztywno i twardo. Raz miał ochotę oblać sabayonne'm różową łysinę jakiegoś dygnitarza. Największą zaś radość sprawiało mu wewnętrznie to, że Jurze jak gdyby chodziło o wyraz jego twarzy. Śledził go wzrokiem, ilekroć zaś ujrzał zaciętość i cień, odwracał się niezadowolony. Podczas ostatniego obiadu był bardzo już roztargniony. Gdy Józef nalewał mu wina, powiedział: „Zaraz po obiedzie czekaj mnie w swoim pokoju. Mam ci coś do powiedzenia".

Gdy wstali — Józef odsunął krzesło księżnej pani, — udał się do swego pokoju. Jak zwykle, nie zapalając światła, stał u siebie w oknie. Gdy tak stał, dach i komin nikły; zostawały niżej, a świeciło szare otwarte niebo przez nagie gałęzie drzew. Zasmucił się, że nie było gwiazd.

SCENA XI.

Zenobja coraz częściej z niecierpliwością czekała na smukłą figurę księcia Mawrickiego. Smutek zdawał się już niepodzielnie ją otaczać. Miała wrażenie ciepłych miękkich ramion, obejmujących jej hełm złotowłosy. Pochylała się i uśmiechała się cicho.

Gdy przeszedł Józef, spotkała go dawnym, dziecinnym uśmiechem („aleja bzów" — pomyślał), który wnet omroczył się troską. Zapatrzyła się w przestrzeń.

— Słuchaj — zaczął Józef — mam list do ciebie, Zena; ale mi musisz pewne rzeczy wyjaśnić.

— Wyjaśnić? Nic ci nie mogę wyjaśnić, mój Józefie. — Zenobja otuliła się cieplej w szal. — Daj list.

— List od księcia. Dla czego z nim korespondujesz?

— Jest to pierwszy list. Zapewniam cię.

Musiał uwierzyć, a jednak czuł tające się na dnie jej powiedzenia kłamstwo. A musiał wierzyć, gdyż wierzył jej zawsze. Uśmiechnęła się do niego znowu.

Podał liljową kopertę, zaadresowaną wielkiem, arystokratycznem, niedbałem pismem. Zenobja, nie śpiesząc się, przeczytała. Twarz jej pozo tała matowa i bez wyrazu pod

cieniem palących spojrzeń Józefa. Podała mu kartkę. Odłożył ją, nie czytając.

— Prosi, abym uprzedziła Jarosława, że nie przydzie dziś tu. Jest zajęty.

SCENA XII.

Książę Jura Mawrickij siedział w bibljotece i wertował listy stryja swego, owego sławnego podróżnika.

„Na Nowej Gwinei — pisał stryj — poznałem góry niedostępne, motyle nieznane i lasy, gdzie nie stanęła stopa Europejczyka...."

Góry niedostępne, motyle nieznane. Wyobraził sobie człowieka, który skończył liceum prawne w Moskwie i należał do towarzystwa, do sfery. I drogę, którą przebył, zanim ujrzał „góry niedostępne, motyle nieznane". Wyrafinowany intelekt podsunął mu tysiączne obrazy rozkoszy podróżniczych. Natomiast zmysł wygody usunął mu to wszystko z przed oczu, zastępując przez miły „osobniak" w Kijowie i lekkie podróże na Krym lub do Florencji. Podziwiał siłę stryja i ów „brzeg Mawrickich" na złotodajnych krawędziach Nowej Gwinei, skąd datowany był list do babki Jury, a matki podróżnika. Wyrwać się!

Właściwie mówiąc, intelekt zabija wygodę życia: pierwiastek duchowy należy zeń starannie usunąć. Cała arystokracja trzyma się dzięki starannemu usuwaniu ze swej drogi pierwiastka duchowego. Bibljoteka jest najczęściej pretekstem do zafundowania sobie imponujących witraży

lub boazerji, lub miejscem przechowania promiennych sławą pamiątek rodzinnych. To wszystko usposobiło go anty-intelektualnie. Chciałby już raz skwitować ze swego dyletantyzmu w tym kierunku i poprostu zdecydować tę kwestję z samym sobą raz na zawsze. Niepotrzebna strata czasu, kiedy życie można ułożyć całkiem inaczej.

(Nie gniewaj się w tem miejscu, druhu, który nigdy nie będziesz czytał tej elukubracji, tobie poświęconej. Wygląda to na parodję twych myśli: pociesz się, cały kniaź Mawrickij jest właściwie parodją twej mocnej, jednolitej, tak bardzo nierozumianej ongi przezemnie natury.)

Wówczas myśl z Nowej Gwinei i nieznanych gór i motyli ześliznęła się ku „Palmirze" i Zenobji. Otworzyło się niespodziewanie okienko w duszy i ujrzał przez nie szerokie błękitne przestrzenie: morze. Pochylił głowę i przymknął oczy: fioletowe fale rozbijały się z szelestem o kratowane okna. Oranżowa zorza umierała daleko; wśród krzyku mew pobliskich odbywał się przypływ: morze wznosiło się i przychodziło, jak wzgardzona kobieta. Upadało rytmicznie falami i podnosiło z głębi jakieś dławienia, aż zwilżyło mu oczy. Powoli je otworzył: jaśminy rozkwitły, fioletowe irysy. Musiał wmówić sobie, że to są azalje, które przysłał wicegubernator dla księżniczki. Utworzył sobie z nich aleję.

Uśmiechnął się sam do siebie, jakby sam siebie się wstydząc, odemknął szufladkę sekretarzyka: leżały tam kupy starych, pożółkłych albumów. Wyszukał jeden z nich i na fioletowej ongi, dziś żółtoliljowej karcie wyczytal te wyrazy:

,,Pourtant je sais, que j'ai des ailes."

Zamknąwszy album, pomyślał o Zenobji, potem o Nowej Gwinei, powrócil do stryja, do podróży i do intelektu. Sięgnął do telefonu. Po chwili odłożył słuchawkę z powrotem i znowu uśmiechnął się blado:

,,Oto, jak się zaczyna moje zerwanie z życiem duchowem".

SCENA XIII.

Bez pukania wszedł do pokoiku Józefa. Uderzyło go niebieskie od lampy ulicznej okno. Zdawało mu się, że niema nikogo, bo było ciemno. Józef jednak był.

Usiadł tu. Przyszedł właściwie bez celu. Może (tam na dnie) chciał pomówić o Zenobji. Józef był smutny.

— Czy mam ci powiedzieć szczerze, Józefie?

— Tylko szczerze, książę panie.

— Uważam cię za jedynego swego przyjaciela w tych czasach.

— A Jarosław?

— Ach, to, to nie. Ten człowiek nie rozumie nic we mnie.

Józefowi zrobiło się przykro i przyjemnie zarazem. Jura stale mu imponował i przejmował szacunkiem. Jednak nie czuł się jego przyjacielem. Zupełnie nie. Nienawidził go za jego piękno.

Jura poruszył się niecierpliwie.

— Cóż ty na to?

— Nic. Przykro mi, gdyż nie poczuwam się do przyjaźni.

— I ty nie? Jestem więc zupełnie sam.

— To zresztą jest losem każdego człowieka.

— Czujesz się osamotniony?

— No, chyba. Ale książę tego nie widzi.

— Owszem, widzę, ale myślałem, że miłość...

— Czyja?

— Twoja do Zenobji.

— Znowu Zenobja. Czy książę specjalnie porusza tę sprawę?

— Tak. Specjalnie. Chcę wiedzieć, czy mogłaby zostać moją kochanką. — Jura spojrzał odważnie na Józefa, czekając skutku swych twardych bądź co bądź, nawet między przyjaciółmi, słów. Oczy ich spotkały się. Józefa aż uniosło od tego spojrzenia. Wytrzymal je. Ba, nawet zacisnął zęby i powiedział:

— Sądzę, że tak.

Jura zdziwił się. Że się jednak spieszył, więc wyszedł po chwili.

SCENA XIV.

Jarosław siedział w swoim pokoju. Już od dłuższego czasu pisał powieść. Nie kleiło mu się to na razie, jednak lubił to siedzenie w ciepłym, ogrzanym, zielonawym pokoju. Szyby miał zaklejone papierem, gdyż wychodziły na klozet w podwórzu. Nadawało to pokojowi matowej białości. Zwłaszcza, że spadł pierwszy jesienny śnieg.

Ogarniał go strach. Fizyczny strach piękności. Ilekroć sobie wspomniał Zenobję (szczególniej pewien ruch rąk, gdy stawiała szklanki na stole), lub młodego księcia, uczuwał lekkie dreszcze: bał się. Piękno ich stawało się dla niego chłodem: czemś mrożącem najistotniejsze, dziecinne jeszcze przeżycia. Czuł, że w tem pięknie dzieją się rzeczy na razie dla niego obce, nieznane, niezakosztowane, a przed któremi chciał się bronić. Pisał swoje bzdury, patrząc na matową biel okien, a ciągle ów chłód piękna mroził go wewnętrznie. Zaczął nienawidzieć ludzkiego piękna. Zdjął ze ściany fotografję Hery Medycejskiej, unikał myśli o nagiem ciele: nie chciał się kąpać. Widok różowej, żółtawej skóry przerażał go. Gdy czasem przychodziłła myśl o nagości Zenobji, przeżywał ją jak kryzys. Pot występował mu na czoło. Pewnego dnia Jura przyjął go u siebie w łazience: kąpał się był — i właśnie

wycierał swe ciało mieszaniną soli i wody kolońskiej. Zaróżowione kształty muskułów dziwacznie pięknych olśniły go zupełnie. Nie mógł sklecić trzech słów; a przytem ciągle owa myśl o Zenobji. Jakby reagowała ona? Splot włosów złotych spuszczonych ku ziemi, i nieruchome, martwe, bez wyrazu usta w chwili dziewiczego oddania się.

Wiedział — zaczynał wiedzieć — że między Zenobją a Jurą doszło do pewnego porozumienia. Raz ujrzał księcia Jerzego w rannych godzinach za szybą kawiarni „Palmira" („Palmura" podobno brzmiała ta nazwa w III wieku po Chrystusie za czasów Aureljana). Później kiedyś wieczorem widział ich razem na ulicy. To go przejęło dziwnym, dojmującym bólem. Przeszedł na Krugło-Uniwersytecką i zadzwonił do pałacyku Mawrickich.

Otworzył mu Józef. Zupełnie nic nie mówiąc, wpakował się do jego pokoiku. Wiedzieli chyba obadwaj, bo nie odezwali się ani słowem. Patrzyli przez okno. Józef leżał na łóżku (tapczan zwyczajny) i patrzał na niebo, komin i gwiazdy. Po chwili rozległ się dzwonek. Przyszedł młody książę. Jarosław poprosił Józefa, aby nie mówił o jego obecności, i wymknął się cichaczem.

Znowu przez parę dni siedział w swoim pokoju i pisał powieść. Gdy zmęczony pisaniem, przechodził do stołowego, widział przez okno młody śnieg, odwilż, błoto,odrapany krzak bzu, trzepoczący się na wietrze, i wielkie węglowe wozy. puste już i dudniące czarnemi swemi kadłubami. Chciał to

wszystko umieścić w powieści, a bezwiednie powracał mu pod pióro patos piękności, której tak bardzo nienawidził. Pomału powstawała w nim dziwna myśl. Już ostatniego dnia śniegu, kiedy tylko białe resztki pozostały na niskich dachach, wypłynęła na powierzchnię świadomości.

— Trzeba zabić piękno?

— Potem: Zabić Jurę?

Zostało to w formie pytania; ale wszystko wokoło, ten skończony śnieg i niedokończona powieść, radość brzydoty i chłód piękna, odpowiedziały mu cichem głębokiem: Tak.

SCENA XV.

Pewnego wieczora książę Jura Mawrickij siedział u siebie: od dwóch dni czytał. Naszła na niego planeta czytania. Przewertował „Ucztę" Platona, Winckelmanna, Goethego. Wreszcie usiadł do Hafisa. Dała mu owa książka poważny materjał do myślenia: radość. Rozmyślał o radości: wrodzony nihilizm bruździł w tej robocie myślowej niesłychanie. Otwierały się jakieś nieznane horyzonty niebiańskiej tulipanjady.

„Tulipany wyciągają ku niebu kielichy, bowiem są żądne wina".

Pieśń o radości wina i młodych ciał dziewczęcych. Właściwie książę Jura nie miał dotąd ani jednej kobiety. To go niecierpliwiło: mógł tę sprawę załatwić jak najprościej, a nie mógł. Coś go wstrzymywało. Przeto Hafisowa chwalba krągłych piersi irytowała go, a zarazem ekscytowała. Znowu zaszedł mu świat słodyczą perskiej wiosny. Józef przyniósł mu herbaty i prosił o pozwolenie wyjścia. Odesłał go skinieniem ręki. Zamyślił się nad miękko-białą filiżanką. Sączył herbatę i papierosa. Ogarniała go słodycz wiatru wiosennego i brzoskwiniowego kwiatu. Estetyzował bezpłciowo jakieś leniwe i słoneczne sny o barwach srebrnych, liljowych i różowych . Zielone plamy aksamitnej rozkoszy

gasły i zapalały się znowu jak reflektory z mięsa. Czuł swoją skórę na całem ciele i myślał o niej. Była gładka.

W owej chwili drzwi się otwarły. Weszła najspokojniej w świecie Zenobja. Przyszła do Józefa — ciotka ją przysłała — i nie może teraz znaleść wyjścia z tego wielkiego mieszkania. Zabłąkała się. Nie może wyjść. Przeprasza księcia bardzo. Ale musi jej wskazać drogę.

— Kochana panno Zenobjo — powiada, odnajdując w sobie całego Wilde'a, ba, nawet aktora Moissy, książę Jura. — W każdym razie nie wskażę pani wyjścia przed godziną.

Zenobja stała zupełnie spokojna i bez wyrazu na środku pokoju. Czekała aż książę zamknie wszystkie drzwi, lekko przekręcając klucze. Potem usiadła z twarzą martwą, dziwnie zaciętą, i podniosła obie wielkie, mleczno-białe, ciepłe dłonie, aby zdjąć kapelusz. Nim się opatrzyła, książę klęczał u jej stóp. Wszystko poszło aż nazbyt gwałtownie. W pewnym momencie książę uczuł pod stopami jakiś twardy przedmiot. Rozpalony, odepchnął go niecierpliwie na dywan. Był to tom liryk Hafisa.

SCENA XVI.

Józefa księstwo posłali do swego majątku po futra Jury. Jarosław skorzystał z pretekstu, że w sąsiedniem miasteczku miał krewnych, doktorostwa i pojechał razem z nim. Dzień był nagle mroźny; gruda straszna na bocznych drogach. Pojechał z Józefem do pałacu. Dom był pusty. Okiennice zamknięte, chłodno było. Przeszedł bezwiednie przez salony i znalazł pokój Jury. Szafka dziecinnych książek rosyjskich i angielskich, potem kolekcja fajek. Zajrzał do sąsiedniej łazienki. Bezmyślnie otworzył apteczkę: słoiczki, pudełeczka, flaszki. Otworzył jeden zamszowy futeralik: leżały w nim, w miękkie koperty zamknięte, prezerwatywy. Rozzłościło go to boleśnie. Zamknął. Wyszedł z pokoju. Odchodząc, spojrzał na wielką złocistą ikonę Matki. „Nierukotworimaja ikona”. Uśmiech gorzki wybiegł mu na wargi.

Józef odnalazł i spakował futra. Konie natychmiast miały ich zawieść do miasteczka. Trudno bo siedzieć było w chłodzie nieopalanego mieszkania. Jechali przez las. Rudy był. Liście nie opadły jeszcze całkowicie, choć zaściełały nawet drogę. Drobne zamarzłe kałużki lśniły nerwowo między grudą. Sypały się lekkie puchy szronów, gdy wysoki bicz furmana potrącał zwisające gałęzie.

— Czy długo jeszcze będziesz u księstwa? — spytał Jarosław Józefa.

— Aż mnie wyrzucą.

Milczeli jeszcze czas jakiś. Złotorude wiewiórki wybuchły z za drzew i we dwie uciekały szybko między liśćmi. Jarosławowi mimowoli przyszła na myśl Palmura. Nad fikusem, nad kontuarem na gałązce sosnowej siedziała tam ozdobnie wypchana wiewiórka o bezmyślnie martwym pyszczku. Gdyby wypchano Zenobję, czy byłaby równie bezmyślna?

— Przywiązujesz się do nich? — spytał znowu.

— Do Jerzego. — Przywiązuję się do niego nienawiścią.

— Trzeba już raz z tem wszystkiem skończyć. — Nie patrzył na Józefa. Śledził bacznym wzrokiem mijane pnie grabowe. Śmigle porastał je zielony mech.

— No tak, niby trzeba — przyznał Józef. — Ale Zenobja?

— Ona też.

— Jakto? Też? Nie dam jej.

— Powiadam: Ona też z nami.

— A! westchnął z ulgą Józef — z nami. To co innego. Czy jesteś tego pewien?

— Prawie.

— Czy mówiłeś z nią?

— Nie.

— To trzeba pomówić.

— Postaram się w tych dniach.

Droga wywiodła ich skrętem z lasu. Nagie drzewa rozbiegły się w dwie strony, i zostały tylko słupy telegraficzne. Zamarzła gruda siniała ku horyzontom. Las zdala również siniał. Zielona wieża cerkwi i profil kościoła zarysowały się zdaleka. Zbliżyli się do miasteczka.

SCENA XVII.

Jarosław puścił w trąbę doktorostwa. Zajechali do jakiegoś zajazdu. W niskiej tynkowanej salce jedli jajecznicę z kiełbasą i pili ciemne piwo. Żydówka była sympatyczna i przyjemna. Zaczęli z nią gawędkę. Przyniosła im flaszeczkę wódki. Napili się z niej raz, drugi i trzeci. Potem Żydówka weszła z tajemniczą miną. Zwróciła się specjalnie do Jarosława. Mówiła mu, że mąż zawsze proponuje paniczom dziewczynki. Ale ona jego prosi, żeby się nie zgadzał na to.

Józef wybuchnął śmiechem. — Co to znaczy? Dla czego?

Żydówka zażenowała się i oburzyła. (Znowu wypili po kieliszku.)

— Co się pan śmieje? Co się pan śmieje? Ja mam syna takiego młodego, jak ten pan. Ja nie chcę, żeby on był brzydki, żeby on brzydko robił. On musi być jak kwiat. Tego pana mamusia też pewnie nie chce, żeby on się bawił z dziewczynkami.

— Nie mam matki — odburknął Jarosław, zły i zabawiony zarazem. — Co pani do mojej matki?

— Ja nic nie chcę do pana matki. Tylko ja chcę, żeby pan był skromny. To tak niepięknie.

— Niepięknie — skoczył Jarosław jak oparzony. — Słyszysz, Józef, niepięknie? Dajcie mi pokój z waszem pięknem. Precz! — krzyknął na Żydówkę. — Mąciło mu się w głowie, lecz wyszedł do sąsiedniej izby. Zawołał Żyda. Kazał mu przyprowadzić dziwkę. W ciemnym cuchnącym alkierzyku żydowskim znaleźli się we trójkę napół pijani, on, Józef i przerażona dziewczyna. Jarosław......... ją z uczuciem, że morduje piękno. Józef załatwił się po nim.

Gdy wyszli na ulicę miasteczka, zrobiło się im głupio. Jarosław otrzeźwiał trochę. Droga na dworzec. Płoty, szarobronzowe krzaki bzu. Mętne niebo. Kury gdaczące. Apteka. Pani aptekarzowa w fioletowej mantyli wygląda oknem z nad szyldu. Kury gdaczą. Pies biegnie. Podnosi nogę przy słupkach, oddzielających jezdnię, wybrukowaną wielkiemi kamieniami, od błotnistego trotuaru. Pan sędzia wyprowadził dzieci w białych kapturkach na spacer. Jedzie pan rządca z sąsiedniej fabryki: powóz dzwoni i trzęsie się hałaśliwie. Lokomotywa gwiżdże; droga, wyjazd, tęsknota za dalą. Kura znów triumfalnie nad wszystkiem gdacze: zniosła jajko. Nowy świat, nowe życie.

SCENA XVIII.

Księstwo wyjechali na Krym, gdzie księżniczka Waria, jako nowa frejlina, miała być prezentowana cesarzowej. Jura miał podążyć za nimi, lecz zwlekał z wyjazdem. Przez parę dni odwiedzała go Zenobja. Raz nawet wieczorem urządził małą herbatkę u siebie. Był Jarosław, Zenobja i Józef, zarazem w charakterze lokaja i gościa. Sytuacja Zenobji i Józefa krępowała wszystkich. Czuli się nieswojo. Rozmowa się nie kleiła. Zenobja wyszła razem z Jarosławem. Domowi pozostali. Było ślisko. Jarosław prowadził ją pod rękę. Czuł pod łokciem jej prężne, dziko piękne ciało. Domyślał się, że jest białe, matowo białe i chłodne jak jej matowo biały profil pod koroną płowych włosów. Czuł, że w tej chwili oddałby wszystkie skarby świata, gdyby ją mógł zgwałcić, pognębić. Zamordować jej piękno, dumę jej i pewność siebie. Zapytał ją, czy zadowolona jest z obrotu spraw.

Zaprzeczyła bardzo prosto. Już byli na Kreszczatiku.

— Bo wiesz — powiedział Jarosław, trzeba z nim skończyć.

— Jestem z wami — powiedziała Zenobja tak zimno, że Jarosław miał wrażenie chłodu stali i sztyletu. Ona uśmie-

chała się, ukazując w bladym różowym aksamicie warg wielkie migdałowe zęby. Wszystko to było narysowane twardemi, mocnemi linjami.

— Trzeba to omówić.

— Zajdź do mnie — powiedziała z dziwnym, mrożącym spokojem. Pogadamy o tem.

SCENA XIX.

Gdy weszli do izdebki Zenobji (mieszkała sama), poczęła się rozbierać. Jarosław ujrzał, siedząc przerażony w kącie, jej białe, wyłuskane jak orzech z łupiny ciało. Ujrzał długie smukłe uda, prawie chłopięce. Ujrzał białość i przedziwną linję rąk, zwłaszcza spadek ramion, który mu przypomniał plagalną kadencję akordów. Łuk szyi. Gdy się rozdziała — wskazała mu drzwi.

— No, idź — bo zaraz przyjdzie Jerzy.

SCENA XX.

Po wyjściu Jarosława Zenobja zanurzyła całą biel swojego ciała w czerwony aksamit kanapy. Otuliła się jakąś chustką i przymknęła oczy.

Oto jak lew hyrkański, dybał na nią świat żądzy. Jak hydra pożerał jej rozpalone od wewnątrz ciało. Wszystko w niej buntowało się przeciw zmysłowej ohydzie piękna. Była to niepotrzebna, tragiczna walka. Całym naskórkiem czuła różowość książęcego ciała; każdy jej włos drżał pożądaniem ręki książęcej; niewolniczo chciała się oddać. Konwulsyjnie powtarzała te słowa: oddać się, oddać się. Marzyła o Venus z Lesbos, gdzie niema strony, która się oddaje, a obie są równe: niema pana i niewolnika, a są tylko dwie miłujące się istoty. Nabrzmiał w niej nierozstrzygnięty wiecznie problemat miłości, wraz z prężeniem się piersi i bioder. Zaprzeczała gwałtownie sama sobie i swojemu ciału i potakiwała mu znowu. Miała wrażenie zagubienia się kompletnego w złotym deszczu Danaid, w labiryncie bez wyjścia. Błąkały się jej w mózgu prężne członki półbogów i bohaterów. Głaskała w myśli zad Herkulesa Farnezyjskiego i lędźwia Apolla. Czuła w ustach niewolniczych smak ust kochanka.

Gdy wszedł Jerzy, oddała mu się zupełnie, gwałtownie; rozdziała go do naga i całowała mu stopy; poniżała się do ostatecznej niewolniczości, zupełnie miażdżyła sprężyrę swej osobowości. Gasła. W ciemności, bo lampę zgasiła, czuła, jak ją dusiły powoli ramiona księcia, jak jej zabierały przytomność jego płaskie, twarde jak tarcza grecka, piersi. Wewnątrz pochyliły się malwy i połamały dziewanny. Tratował koń czarny jej ogród ogrodniczki. Cwałowała, jak niewolnica porwana na arabskim bachmacie, i wciąż czuła w ustach smak ust książęcych, smak ust, które jej przez tyle dni nie dawały pokoju we śnie, w marzeniach. Nienawidziła tak głęboko wszystkiego, co było ciałem, i cwałowała na namiętności swojej, jak czarownica na olbrzymim obłym fallosie.

SCENA W LIWADJI Z CHÓREM (CORO LONTANO).

Jerzy trafił akurat na dzień, w którym jego siostra była prezentowana cesarzowej. Z radością uciekł od słoty i zimy i spadł na słodkie wybrzeże Krymu, jak na kielich złotego miodu spadają sine motyle. Upoił się słońcem od razu i morzem.

Na trzeci dzień miała się odbyć prosta herbatka u cesarzowej Aleksandry, na jaką sobie ona tylko w Liwadji pozwalała. Na przyjęcie to zaproszono Warię z matką; księżna wyrobiła zaprosiny i dla Jury. Samochodem pojechali z Jałty do Liwadji.

Na wielkim tarasie zasiedli sobie w wyplatanych krzesłach i patrzyli w lazur morza, które trzepało się, szeptało, perłowaciało i pociągało się cieniem, ilekroć wiatr zechciał je zmarszczyć. Prócz cesarzowej z dziećmi i trojga księstwa Mawrickich, było parę nikłych i sztywnych dam dworu. Cesarzowa Aleksandra była wyjątkowo spokojna i w dobrym humorze. Oczekiwano zmroku. Jakieś towarzystwo dam dobroczynnych, czy coś podobnego, miało urządzić wielkie ognie sztuczne na morzu przed pałacem na cześć następcy tronu. Rozmowa toczyła się po angielsku.

Wielkie księżniczki, Olga, Tatjana, Marja i Anastazja, jaśniały spokojną, dziewczęcą urodą. Szczególnie uderzyła

Jerzego księżniczka Olga. Błękitne, krowie jej oczy spoglądały ze spokojną rozwagą z pod idealnych, złotych brwi. Nazwał ją w myśli słodkooką. W pierwszej chwili nie było jej na tarasie. Zawołano ją z ogrodu. Przyszła z książką w ręku. Od tej książki zaczął z nią Jerzy rozmowę. Zapytał co to jest. Zamiast odpowiedzi podała mu ją: zwykły tomik kremowy Tauchnitz-Edition. Przeczytał: Zenobia the Queen of Palmyra". Zwrócił książkę księżniczce.

Zaczął rozmowę o morzu, o słońcu, o jesieni w Kijowie. Wielka księżniczka słuchała z uwagą. Raz wraz rzucała nań słodkie, łagodne spojrzenie. Na morzu zaczęły się ukazywać łodzie, przybywało coraz więcej białych, żaglowych trójkątów. Morze stało się spiętrzonym pasem fioletowego szeptu. Pierwsze race zapalały się jak młode gwiazdy.

Aleksiej nie dał się utrzymać. Rwał się ku morzu, włosy mu się rozrzuciły, oczy pałały. Cesarzowa Aleksandra leniwie podniosła swą wysmukłą, rasową postać. Poprawiła włosy i poczęto schodzić w dół. Wielka księżniczka Olga szła z Jurą. Na pewnym załomie schodów zatrzymali się, gdy wszyscy poszli dalej. Księżniczka usiadła na balustradzie i patrzyła w morze, gdzie zapalały się czerwone latarnie. Dalekie echo orkiestry wojskowej brzęczące w oddali.

Jerzemu chciało się wejść w tej chwili do tej królewskiej duszy i przekonać się, co się tam dzieje. Dość niedelikatnie poruszył tę kwestję.

— Ciekawym, czy waszej wysokości sprawiają jeszcze przyjemność takie święta.

— My priwykli — niespodzianie po rosyjsku powiedziała księżniczka Olga i machnęła wzgardliwie ręką.

— Zapewne, dziwne to uczucie — ciągnął Jerzy — być najstarszą córką tak wielkiego władcy, głowy kościoła wschodniego. — Mimowoli zaczął półszeptem: — My, Nikołaj II, bożjej miłostju impierator wsieja Rossii, car polskij, wielikij kniaź finlandskij...

— Wie pan, nie myślę wcale o tem. Papa jest taki dla mnie mały. Przytem nie lubię Rosji...

Zadziwiły te puste słowa Jerzego wobec powagi momentu jego przeżywań. Zatęsknił do jesieni.

Przypomniał sobie Jarosława i zaryzykował pytanie:

— A Polsza?

— Polsza? — zawahała się księżniczka. Gdzie to? Aha, tam, gdzie Spała? Wiem, wiem. To miły kraj. Jakie tam są jelenie! („Kakije tam oleni").

Już o nic nie pytał. Na dolnym tarasie widział na tle bladego morza sylwetę cesarzowej Aleksandry, do której tuliła się mała, czarna postać Aleksieja. Reszta grupy tonęła w mroku.

— Ja bardzo kocham papę — mówiła już po angielsku księżniczka. — Ja bardzo kocham i szanuję, ale naprawdę chciałabym, żeby już panował Aleksy. Będziemy wolniejsze nie będą nas tak strzec. On jest taki popularny.

Na morze wypłynął statek buchając racami i rakietami zielonoczerwonemi. Z daleka dolatywał śpiew chóralny: Boże, cesarza chroń! Olbrzymi napis „Aleksiej" zajaśniał ogniami na granatowem tle powietrza. Śpiew umilkł przez chwilę, a później szerokiemi, głębokiemi falami rozlała się chóralna melodja jakiejś rosyjskiej ludowej, zupełnie już tragicznej pieśni.

Cesarzowa Aleksandra słuchała jej przez chwilę w milczeniu. Potem nachyliła się do księżnej Mawrickiej, do której uczuła dziwną sympatję i powiedziała półszeptem, tym razem po francusku:

— Mój syn dopiero pokaże światu, jak można w Rosji panować. Kto posiada taką miłość ludu...

Reszta zdania pozostała niedokończona, gdyż ze statku buchnął bukiet rac, świateł i bolidów, i mały Aleksy aż zatupotał, zachłysnął się w dziecinnej radości.

SCENA XXIII.

Jura Mawrickij, wróciwszy z Liwadji do Jałty, zbudził Józefa i natychmiast kazał mu się pakować. Miano nazajutrz wyjechać. Z niewiadomych przyczyn Jur przyspieszył swój wyjazd do Kijowa. Obstalował przecudny kosz kremowych róż, na długą podróż opatulonych i sam prawie spakował pół kosza bielizny. Niosło go zupełnie radośnie ku drzewom oblepionym mchem i wilgocią, kapiącym rzadkiemi kroplami rosy i wody, jakie czekały nań w Kijowie. Pragnął prawie mgły, słońca i wilgoci. Chciał ujrzeć w mgle ulicznej siny blask lampy w oknie pokoju Józefa. Czuł niewyczerpaną możliwość sensacji uczuciowych i skrzydeł. Porwała go własna młodość. Raz wraz odstawiał ją od siebie i podziwiał jak posążek z różowego marmuru. Z rana zbudził się o świcie: lot pociągu wydał mu się zbawiennem lekarstwem na wszelkie ludzkie dolegliwości. Przebiegł wszystkie księgarnie i czytelnie, szukając romansu: „Zenobia the Queen of Palmyra“.

SCENA XXIV.

Zaraz po powrocie do Kijowa (kurjer krymski spóźnił się o parę godzin i przyjechali ledwie o zmroku) Józef, rozpakowawszy księcia i przygotowawszy kąpiel, siedział u siebie w pokoju. Czuł dziwny, zbawienny spokój. W domu była kompletna cisza. Z księstwem wyjechali wszyscy: był tylko on i książę Jerzy. Przed wszystkiem, co miał uczynić już zaraz, już jutro, panowała w nim złowroga cisza. Uspokoił się i zaprzątał myśl tysiącznemi drobiazgami. Zupełnie słodko uśmiechnął się do myśli i snów. Turkusy snuły się równo i szeleszcząco, przerywane czasem wielkim, prawie czarnym, lecz przezroczystym ametystem.

1. Ojciec miał bronzowy kamień z cyfrą na złotej dewizce. Kamień trójkątny, który poruszał zawsze palcami, ilekroć chodził po pokoju, przed położeniem się do snu.

2. Mańka ma białe ciało.

3. Wilgotny zapach bzów.

4. Krym złoty i morze o zmierzchu liljowe, jak odpustowa sukienka Zenobji przed dziesięciu laty.

Wszedł książę. Bez pukania. Był już tylko w liljowej jedwabnej pyjamie. Uśmiechnął się do Józefa. Józef złowił ten uśmiech w błękitnem świetle latarni jak mroźną iskrę i zawarł go obydwoma rękoma, kurczowo. Tak był

-piękny. Józefa opanował zacięty, głuchy gniew. „Precz z nim" powtarzał sobie słowa Jarosława. „Precz z nim!" Wstał z tapczanu i podszedł wprost do Jury, tak blisko, że czuł jego oddech na twarzy. Jura popatrzył mu prosto w oczy i położył rękę na ramieniu:

— Mój Józefie!

Józef otoczył go rękami w pasie. Czuł pod przejrzystym jedwabiem miękkość jego skóry. Zacisnął mocniej ramiona. Jura nie zdziwił się. Przegiął się tylko w tył miękkim, wschodnim ruchem i nie spuszczał oczu z oczu Józefa:

— Mój Józefie! — ciągnął z dziwną słodyczą w głosie. — Przyprowadź mi... Ją.

Józefa opanowała wściekłość. Zaciskał ramiona wciąż mocniej. Czuł w swych pięściach chamskich to bosko piękne stworzenie i czuł, że mógł je zdławić jak liszkę, jak muchę wijącą się w palcach, chciał, musiał to uczynić.

Nagle Jura wywinął się zręcznie i rzekł prosząco:

— Dobrze? Nie mogę bez niej wytrzymać.

Józef ochłonął, odstąpił w tył. Przez chwilkę milczał. Później zupełnie oficjalnie wyprostował się i powiedział:

— Tak toczno.

Przytem zapalił elektryczność. W świetle ukazała mu się różowo-liljowa postać wstrętnego efeba. Szafirowe olbrzymie oczy pałały gorączkowo. Smukłe, śniade piersi wychylały się z jedwabiu kurtki.

Uciekł czemprędzej, aby nie znosić tego zabójczo pięknego widoku.

WIELKI FINAŁ Z CHÓRAMI.

Chór I: Siedem żywiołów jest żywota, przeciw którym niemasz ratunku, ino w czasie wszystkopożerającym. Ogień, który płonąc, przenika. Woda, która zalewając, pochłania. Powietrze, które wiejąc, wywraca. Ziemia, która rozstępując się, połyka. Prawda, która obnażając się, zabija. Miłość, która uciskając, dręczy, i Piękno, przeciw któremu nie mają ludzie ratunku.

Zenobja już w przedsieniu królewskiej sypialni porzuciła zwierzchnie szaty. Tylko ostawiła jedwabne do kostek spodnie i klejnoty, napierśniki, manele, obręcze i łańcuchy i naszyjniki, które jej ciało osłaniały. Boso skradała się ku sypialni, poprawiając ukryty w fałdach szarawarów sztylet, któren to był trucizną piorunującą zatruty.

Na łożu wielkiem w świetle dwu lamp z alabastru spoczywał król Palmury. Pokłon mu Zenobja oddała i zbliżyła się do łoża. Zwyczajnym ruchem rozsunęła fałdy jedwabnej nocnej szaty królewskiej i ucałowała najpierw lewą, potem prawą pierś królewską. Poczem odeszła.

Król, przedziwnie piękny, ze złotą przepaską jedynie na włosach, śledził bacznie jej ruchy wielkiemi szafirowemi oczyma. Śniada ciemność smukłych piersi wysuwała się z jedwabiu, nęcąc połyskiem aksamitu skóry. Spoczywał spokojnie i patrzył na Zenobję.

P

si
br
wy

wi

Chór II: Dziesięćkroć łączyła się z królem Palmury Zenobja, dziewczyna ze strony zachodniej, której znakiem jest gwiazda wieczorna. Noc pierwsza, poświęcona Cybeli, czysta była i niezmazana nasieniem, jak noc trzebieńców. Druga noc poświęcona była Matce Matek. Trzecia była poświęcona Ojca Ojców. Czwarta była jak wnętrze melona — wonna i płonąca. Piąta była ciężka jak dym bursztynu. Szósta była ze złota. Siódma była obrębiona perłami. Ósma była biała. Dziewiąta była purpurowa. Dziesiąta zeszła fioletowa ze zgrozy i ze zmęczenia.

— Zenobjo — powiedział król. Więc przyszłaś? A powiedziałeś, że nie uczynisz tego już nigdy.

— Ciało moje mnie posłało.

— Ciało twoje jest mi poddane, Zenobjo.

— Jestem królem mojego ciała.

— A dusza? Dokąd ucieka odemnie moja dusza?

— Dla czego nazywasz moją duszę twoją? Płomień ci to jest, którego nie zdołasz uwięzić.

— Skąd przychodzisz?

— Z zachodu.

— Po co przychodzisz?

— Śmierć i żona od Boga przeznaczona.

Chór III: Czarne jest oblicze śmierci. Białe jest oblicze Zenobji, niewiasty królewskiej. Smrodny jest zapach śmierci. Wonna jest woń Zenobji, ukochanej królewskiej. Śmierć ma szmaragd w oku. Szmaragd ma w oku Zenobja, nałożnica królewska.

— Zenobja, własność królewska — powiedział król.

— Nie, nie! mój królu, nie własność. Bunt królewski. Podążam tu bunt uczynić. Przychodzę cię zabrać w ręce sprawiedliwości. Dziś w milczeniu pałacu pójdziesz wreszcie tam, gdzie ja ci rozkażę, o królu mój i panie, a ciebie wreszcie ku swej woli przywiodę.

Król się przeraził. Skoczył na łożu. Spojrzał na Zenobję.

— Zenobjo! — rzekł najsłodszym głosem, pójdź, Zenobjo. I wyciągnął ku niej białe, pełne, wysadzone pieszczotami ręce, jak dwa najcenniejsze klejnoty.

Zenobja twarz ukryła w dłonie. Szept ten przejął ją do głębi.

Gdy odsłoniła oczy, ujrzała, jak z fioletów jedwabiu nocnej szaty wynurza się ku niej nagość króla Palmury, jak najbardziej obiecujący poranek majowy. Słońce palące się na łanach palmurskich tulipanów nie tak się różowo srozy, nie tak różowo połyska.

— Zenobłjo — rzekł król, stając na łożu i prężąc się ruchem cudnym. — Pójdźże wreszcie do mnie.

Chór IV: Dwa są lekarstwa na miłość. Nienawiść i śmierć

— Nienawidzę cię — wybuchnęła Zenobja, zaciskając dłonie. Nienawidzę cię ze wszystkiej siły mojej. Nienawidzę piękna twego.

Król zrozumiał, że przepadła już dlań. Spokojnie jednak nalegał.

— Sama jesteś piękna, Zenobjo

— Nienawidzę swojej piękności. Nienawidzę ciała swojego. To ono oddało mnie tobie. Ono mi podszepnęło niewolnicze pieszczoty. Ono mnie poniżyło do stóp. Precz z niem.

— Chcesz odrzucić swe ciało, Zenobjo? Cóż ci pozostanie? — z ironją rzekł król.

— Nic, nic mi nie pozostanie. Bóg zamknął moją duszę w twojej duszy. Nie mam nic, co nie byłoby z ciebie. Myśli moje, czyny, chęci — z ciebie są. Rodzę się z ciebie jak rzeka ze źródła. I dlatego nienawidzić cię pragnę, zniszczyć, unieśmiertelnić. Czy ja wiem? — wrzasnęła histerycznie. — Oto jest sztylet mój przeciwko tobie.

I oburącz uniosła ku górze błyszczące ostrze, aż sypnęły skry przed oczami króla.

— Jeszcze chwila, a zawołam Jussufa — powiedział blednąc.

— Mój on jest — tryumfalnie zawołała Zenobja — posuwając się o parę kroków naprzód — mój on jest. Tak wyszedł ze mnie, jak ja z ciebie. Zawiodły twoje rachuby. On również nienawidzi ciebie.

Król zrozumiał, że zginął. Miękko podszedł ku Zenobji. Uśmiechał się słodko. Odpowiedziała mu uśmiechem. Objął ją ramionami i utulił głowę na piersi. Zamknął oczy. Zenobja czuła, że drżał jak w febrze, lub jak w pierwszym ataku żądzy.

Modlił się do bogów, aby mu prędzej zabrali świadomość, aby już prędzej odrzucić jak łachman niepotrzebny ten klejnot dotąd bezcenny, aby już stało się wszystko, co miało się stać.

Chór V: Odrzucić płaszcz życia, jak wędrowiec rozbiera się do kąpieli chłodnej.

Czuł tylko, jak Zenobja szukała w fałdach sznura, na którym był uwiązany sztylet. Przeszył go ból, zadany wolno wepchniętem ostrzem pod pachę. Rozwiązał łańcuch ramion i ześliznął się głową wzdłuż ciała dziewicy aż do jej stóp. Czuł, jak jej ręce biegały mu wzdłuż pachwin, aby odpasać święty pas królewski, insygnium władzy królów Palmury.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Zenobja drżała na całem ciele. Nogą odepchnęła trupa i niepewnemi palcami wiązała pas święty. Duszność ją ogarnęła. Wskoczyła na framugę okna i szeroko je otworzyła. Wsparłszy się o uszak, spojrzała w noc przed sobą. Już było późno. Chłodno. Krople spływające z liścia na liść, lekko klaskały. Chłód nocy ogarnął jej zmęczone ciało. Zamknęła oczy. Wówczas zdaleka z za rzeki ozwały się głosy kogutów, poświęconych bogu Byth. Najprzód głos pojedyńczy, później inne, jedne bliżej, drugie dalej; czasem głosy zamierały, a potem znowu wznosiły się mocno, tęgo: kikeryki, kikeryki!

(Kurz na drodze. Rosą obciążone zboże chyli się. Poranek chłodny i nieco chmurny. Furman zatrzymał konie przy czarnym krzyżu i poprawia uprząż. Józefek rwie bławatki w życie. A ona poprawia na sobie ową odpu-

stową liljową sukienkę. Koń prycha, a matka odmawia różaniec).

Porwała ją wyjąca tęsknota, aż przysłoniła oczy. Tęsknota do owych dni, do miedzy w czasie żniw, między zżętem a niezżętem polem, do ciszy lasu, w którą weszli z Józefem, do owego piekącego uczucia rozkoszy i bólu, gdy uczuła w owym lesie po raz pierwszy ciało Józefa wszczepione w jej ciało, i to ukochanie jego, które ogarniało ją jak pierwszy młody płomień.

Ale ocknęła się. Słyszała jak na tarasie, skąd się miała ukazać ludowi, służba uprząta siedzenia. Już też i wielkorządca królewski Jussuf szedł przez puste sale, dzwoniąc kluczami od tajnego schowania, kędy przechowywano koronę królów Palmury, którą za chwilę miała ozdobić swój hełm płowych włosów.

SCENA XXVI.

(Tu się gra preludjum c-moll z pierwszej księgi „Wohltemperiertes Clavier" Jana Sebastjana Bacha.)

Już zupełnie pod wiosnę na wielkim tygodniu, w parę czasów po procesie o zabójstwo księcia Jerzego Mawrickiego i po skazaniu panny Zenobji, Jarosław Iwaszkiewicz wyszedł na plac Sofijowski.

W mroku niebieskiego (zupełnie niebieskiego) zmierzchu palił się jeszcze złotem szczyt sofijowskiej dzwonnicy i dzwony gwałtownie biły hymn wiosenny. Powiew roztopów i tającego śniegu łechtał całe ciało czemś nieskończenie młodem. Drobne dzwonki ulatywały pod niebo prastarą dziwną gamą, a wielki, poważny, jedyny, aksamitny dzwon lepko i miękko lał podstawę cementową tonom wysokim a górnym.

Niebo zniżyło się, pociemniało, zsiniało, słuchało. Jarosław wyszedł na górę Włodzimierza i patrzał na pas Dnepru szklisty u swoich stóp. Od wody, od lasów przeciwbrzeżnych niósł wiatr oddech wiosny. O tem nie można pisać. To dławi.

Podstawowy ton dzwonu podnosił piękno tej chwili. Jarosław nie wiedział, jakim sposobem poczuł w oczach łzy. A w muskułach poczuł odwieczną, dzwonną, wiosenną siłę Żywota.

GANZ ZUM ÜBERFLUSS MEINTE FLORESTAN NOCH FOLGENDES:

Złote motyle białych piór
Kołyszą się na horyzontach,
To córka czterech roku pór,
Zenobja, w którą wichr się wplątał.

Módl się, wiosno, za nami! Módlcie się, drzewa, za nami, niech kropla, staczająca się z liścia na liść, pomodli się za nas!

Pocałuj mnie, szklane oko zamordowanych królów. Daj mi dłoń, wonny trupie pięknego młodzieńca! Niech umiera wszystko, ale niech się modli.

Uciszcie się przechodnie, albowiem Zenobja umarła.

Et pourtant je sais, je sais, que j'ai des ailes!

KONIEC

ODBITO W TŁOCZNI: POZNAŃSKA DRUKARNIA
I ZAKŁAD NAKŁADOWY W POZNANIU.
NAKŁADEM ZDROJU, HULEWICZ I SKA.
W POZNANIU.